

Michał Bajor ma 22 lata,
jest studentem
czwartego roku
Wydziału Aktorskiego
Państwowej Wyższej Szkoły
Teatralnej im. Al. Zelwerowicza
w Warszawie.
Na teatralny debiut
zagrał dużą
i trudną rolę
Alana Stranga
w sztuce Petera Shaffera
„Equus”, w warszawskim
Ateneum.
A oto co mówi
o sobie,
Alanie i innych
rzeczach.

26

Na to, że zostałem aktorem – miała wpływ tradycja rodzinna. Mój ojciec jest w Opolu aktorem, w teatrze lalkowym – wprawdzie, ale gra już 25 lat. Mama była śpiewaczką operową, uczyła kiedyś śpiewu, a jej siostry są pianistkami. Całe to moje „małe życie”, tak mniej więcej do matury, ciągle kręciło się wokół tych ludzi, wokół ich spraw, czyli życia artystycznego, prowincjonalnego wprawdzie, ale tym intensywniej przeżywanego. Tam było to ważniej-

sze niż np. w Warszawie. W Opolu jest jeden teatr. Myślę, że ludzie na prowincji nie mają takich możliwości rozdrabniania się jak ludzie w wielkiej metropolii. Są, w pewnym sensie, zamknięci w swoim małym światku, nie mają tyle okazji do intensywnego życia towarzyskiego, kulturalnego. W Warszawie aktor biega między teatrem, telewizją, dubbingiem, filmem i estradą. W takim Opolu tych możliwości nie ma i dlatego tym intensywniej żyje się jednym miejscem pracy, co, jak wszystko, ma swoje dobre i złe strony – można się skoncentrować na jednej rzeczy, ale ma się mniej okazji do rozwoju zawodowego.

Rodzina bez przerwy zabierała mnie na koncerty i do teatru. Chodziłem do ojca, tuż obok był teatr dramatyczny, gdzie płaćtałem się w czasie prób. Nie mogę, rzecz jasna, powiedzieć nic o jego poziomie, bo niewiele z tego rozumiałem, teraz nie mam czasu tam jeździć, więc właściwie niewiele wiem na temat teatru w Opolu.

Wszystko to złożyło się na ogromne rozterki, które przeżywałem kończąc szkołę. Mogłem być muzykiem, chodzi-

łem do szkoły muzycznej, jakoś mi się grało, więc myślałem o PWSMie, ale średniej szkoły muzycznej nie skończyłem. Myślałem również o tańcu klasycznym. To taka moja tajemnica, rzadko komu o tym mówię. Dopiero po tym wszystkim przyszła mi do głowy szkoła teatralna.

Muszę przyznać, że kiedy zacząłem śpiewać, w Zielonej Górze, w Kołobrzegu, w Opolu, kiedy jeździłem z orkiestrą Rachonia i Debicha, kiedy nagrywałem dla radia i telewizji, myślałem, że dyplom PWST da mi bezpieczeństwo życia estradowego, że będzie taką polisą ubezpieczeniową. Ja miałem wtedy 17 lat. ...Wydało mi się tak do końca pierwszego roku studiów. Nie bardzo wiedziałem, po co tam jestem. Bardzo chciałem tam być, bardzo mi się tam podobało, ale wewnętrznie byłem przekonany, że będę śpiewał. Po pierwszym roku mi to przeszło. Jak się zaczęła już taka dorosła praca – sceny ze wspaniałymi profesorami – zupełnie już nie miałem ochoty na śpiewanie. Myślę, że jeżeli mam okazję do grania, to jest to tak duża sprawa, że nie można jej zmarnować.

Trzy lata szkoły dały mi tyle, ile trzy miesiące prób w Ateneum: Szkoła to ciepłarnia, to inkubator, a w zetknięciu już z normalną pracą zawodową, już bez taryfy ulgowej, intensywność przeżyć rośnie. Myślę tutaj o tym, co zdołałem przyjąć w swoich możliwościach psychicznych,

co przefiltrowałem przez siebie. Praktyka szkolna ułatwiła mi ten trudny okres przejścia do profesjonalnego życia.

Poszczęściło mi się. Zagrałem w „Equusie” nie mając jeszcze angażu, a już prawie nie będąc studentem. Jestem już w teatrze, gdzie gram, jestem jeszcze w szkole, gdzie już nie ma nauki, a tylko przedstawienia dyplomowe. Jestem jakby wolny.

W pracy nad rolą Alana bardzo pomógł mi taki wentyl psychiczny – że nawet jeśli dam płamę, no to w końcu jestem jeszcze w szkole. Miałem świadomość, że mogę wykorzystać prawo do omyłki debiutanta.

Jak na razie ominął mnie etap stażu aktorskiego, od „ogonów” do dużych ról. W takich wypadkach to różnie bywa, albo się spada, i to spадanie jest tym boleśniej- szym, albo się zostaje na tej pozycji. Myślę, że po szkole najważniejsza sprawa to grać. Grać jak najwięcej. Wielu z nas staje przed problemem: czy mały ośrodek, a dużo grania, czy odwrotnie. Z drugiej strony w dużym ośrodku są szanse większe. Decyzja rzeczywiście nie jest łatwa. Nawet najwięksi nasi profesorowie nie potrafia nam nic poradzić. To osobista sprawa każdego z nas, bo to decyzja, która potem rzutuje na całe dalsze życie. Ja sam byłbym w ogromnym kłopotcie co wybrać. Na szczęście wybór dokonał się poza mną.

Rola Alana, która, bez fałszywej skromności, jakoś poszła, zawyżyła mi poprzeczkę. To, co będzie potem, nie może być gorsze. Zmusza mnie do pracy na wyższych obrotach. Ominął mnie etap teatralnego „dzieciństwa” i wskoczyłem obydwoma nogami w prawdziwe, profesjonalne życie, w którym już nie ma ani krzty zabawy. W szkole nie przeżywa się takich stresów.

Przy pracy nad „Equusem” mieliśmy bardzo mało prób analitycznych. Prawie od razu weszliśmy na scenę. To, że postać, którą gram, egzystuje, w dużej mierze zawdzięczam swoim partnerom i reżyserowi. Andrzej Rozhin sygnalizował mi tylko pewne sprawy, kamienie milowe tej roli, zostawiając dużo swobody. A cały zespół, bez podlizywania się im, był niezwykle zaangażowany w moją rolę, bardzo byli mną przejęci.

Myślę, że problemu Alana nie można rozpatrywać w kategoriach – no, malny i nienormalny, lecz – wrażliwy i, przede wszystkim, inny; stąd jego klęska. Powiem może coś dziwnego, ale Alan jest mi bardzo bliski. Znajduję w nim wiele z tego, jaki byłem mając lat 15, 17. Wiem, że to głupio brzmi, bo teraz mam raptem 22, ale ja go autentycznie rozumiem. I są tam takie momenty, w których mam wrażenie, że gram siebie sprzed paru lat.

Rozpocząłem intensywną pracę ze studentem Wydziału Reżyserii PWST, Marcinem Ratyńskim, nad Bernhardta „Ignorantem i szaleńcem”, w Kole Naukowym szkoły. Gram tam postać o wiele starszą ode mnie. Też razem z Marcinem robię monodram według Borgesa, o ukrzyżowaniu chłopca z Buenos Aires, a następną pozycją to rola młodego poety w zachodniobierlińskim filmie telewizyjnym. Rola w „Equusie” stworzyła niebezpieczeństwo zaszukadkowania mnie – taki nadwrażliwiec, nieco szalony i strasznie nerwowo – to Bajor. Tym bardziej cieszy mnie propozycja Andrzeja Rozhina, abym zagrał Romea w teatrze koszalińskim.

Ale czego by nie powiedzieć, „Equus” – to duża sprawa.

Notowała
MAŁGORZATA MALISZEWSKA

Od redakcji: Recenzję z „Equusa” drukujemy na kolumnie felietonów.

Fot. Sławek Biegański



DUŻA

SPRAWA